

Trzydzieści lat z Profesorem: Szefem, Mistrzem, Przyjacielem

Moje pierwsze spotkanie z Profesorem – gdzieś wiosną roku 1979 – miało posmak przygody. A było to tak. Jako filolog z biegłą znajomością języka angielskiego nie miałam w czasach słusznie minionych szerokich możliwości wyboru pracy. Szczęśliwie od kilkunastu lat pracowałam wtedy w biurze projektów wykonującym liczne zamówienia eksportowe do krajów takich, jak Egipt, Irak czy Libia, które były przygotowywane w języku angielskim. Miałam więc co robić, środowisko było całkiem sympatyczne, nie skarżyłam się zatem na swój los. Jednak ku końcowi lat siedemdziesiątych XX wieku, u schyłku ery gierkowskiej, zainteresowanie naszymi projektami bardzo osłabło, a ich powielanie czyniło moją pracę arcynudną. Ratowałam się robótkami ręcznymi, a mój kolega sąsiad, architekt, większość czasu spędzał na czytaniu prasy. Pewnego dnia oznajmił: „Mam tu coś dla Ciebie” i podał mi „Dziennik Polski” z ogłoszeniem o tajemniczej treści. Pamiętam je do dziś słowo w słowo: *Naukowiec poszukuje sekretarki naukowej z biegłą znajomością języka angielskiego*. „Pisz – powiedział kolega – idę przez Wiślną, podam ogłoszenie”. Tak zrobiłam.

Ale wkrótce potem, w dniu, w którym usłyszałam w moim telefonie miły męski głos, rozmówca, przedstawivszy się, zaprosił mnie na rozmowę, ogarnęła mnie niezła trema. Wiedziałam, kim jest profesor Ryszard Jerzy Gryglewski i uświadomiłam sobie, że oprócz znajomości języka sekretarka powinna posiadać jeszcze parę innych kwalifikacji, których na pewno nie miałam. Tym niemniej postanowiłam stawić czoła wyzwaniu i w umówionym dniu i o umówionej porze udałam się na ul. Grzegórzecką 16. W pięknym, stylowym gabinecie przyjął mnie bardzo wysoki (a ja mierzę 150 cm wzrostu!), uśmiechnięty pan w kraciastej koszuli i jeansach, kompletnie niezainteresowany moim kierunkiem studiów ani przebiegiem mojej pracy zawodowej. Pokazał mi kilka listów w języku angielskim, powiedział, jak chciałby na nie odpowiedzieć, po czym otworzył drzwi do sąsiadującej z gabinetem biblioteki i poprosił, żebym spróbowała sformułować w jego imieniu odpowiedź. Wzięłam więc od pani z sekretariatu obok kilka kartek papieru, usiadłam i zabrałam się do pracy. Po dłuższej chwili Profesor poprosił mnie do siebie, przeczytał co napisałam, uśmiechnął się i stwierdził: „To jest właśnie to, o co mi chodziło”. Zaczęłam przekonywać Profesora, jak

dalece z usposobienia i braku przygotowania nie nadają się na stanowisko jego sekretarki. Na co Profesor stwierdził, że nie chodzi mu o sekretarkę – jest sekretarka zakładowa, jest bibliotekarka, on zaś potrzebuje kogoś, kto będzie pełnił funkcję „personal assistant”. Cóż, prawdę mówiąc, pierwszy raz wtedy, w ówczesnej siermiężnej Polsce, usłyszałam o takiej funkcji. Rzecz jasna, dałam się przekonać mojemu przyszłemu szefowi.

Profesor wybierał się wtedy na kilka miesięcy do Anglii. Ustaliliśmy, że pozałatwiam wszystkie formalności i zgłoszę się do pracy w Katedrze we wrześniu 1979 roku, na kilka dni przed jego powrotem, żeby zapoznać się z absolutnie dla mnie nowym otoczeniem. Tak się też stało.

Kiedy pojawiłam się w Katedrze u progu jesieni, wprowadziła mnie do zespołu niezapomniana doktor Michalska, „zakładowy anioł” – jak ją określił Profesor – jego koleżanka ze studiów chemicznych, uroczą, ciepłą i mądrą. Poznałam też wiele innych osób, zainteresowanych osobą, która ma odtąd pracować z ich szefem. Zauważyłam też, że Profesor cieszy się szacunkiem i podziwem swoich współpracowników, i że jest przez nich szczerze lubiany. Miałam pracować obok sekretariatu, w bibliotece, z bezpośrednim wejściem do gabinetu Profesora – dla mnie odtąd zawsze dostępnym – przy niewielkim biurczku, przy jednym z ogromnych okien wychodzących na dziedziniec Collegium Medicum – razem z poznaną wkrótce panią bibliotekarką. Z szeregiem osób wtedy poznanych łączy mnie do dziś serdeczna przyjaźń.

Po tygodniu wrócił Profesor i zaczęła się codzienna praca, w absolutnie odmiennym dla mnie trybie w porównaniu z tym, jak pracowałam dotychczas. Wkrótce odczułam, jak bardzo odpowiada mi ten sposób pracy. Profesor był bardzo wymagającym zwierzchnikiem, ale posiadał niezwykłą umiejętność przekazania, czego oczekuje i jak pilnie – zwykle natychmiast. Po czym kompletnie przestawało go interesować, jak jego polecenie będzie realizowane, pod warunkiem że zrealizowane będzie. Czasem w trakcie wykonywania jakiegoś zadania dostawałam dyspozycję, że mam jeszcze pilniej zająć się czymś zupełnie innym, co nie oznaczało, że poprzednia sprawa przestawała być aktualna. W tej sytuacji mój brak przygotowania do pełnienia funkcji sekretarki okazał się

kompletnie nieistotny. To był mój problem; uczyłam się więc od mojego niezwyklego Szefa, w trochę oparty na jego metodzie sposób, organizowania swojej pracy. Zamawianie połączeń telefonicznych, na które w owych czasach czekało się nieraz cały dzień – było to zadanie jako sekretarki; poszukiwanie źródeł, artykułów, publikacji, zamawianie ich, prenumerata licznych czasopism naukowych – jako bibliotekarki; odbiór zamówionych publikacji czy materiałów – jako gońca itd. I wszystko funkcjonowało znakomicie! Wiele mnie to nauczyło, ale w ślad za moim Szefem stałam się osobą raczej niecierpliwą i taka jestem do dziś...

Osobnym aspektem kształtującej się coraz lepiej mojej współpracy z Profesorem było coś, co dla niego stanowiło jedno z najistotniejszych oczekiwań w stosunku do mnie.

Profesor był zdecydowanie perfekcjonistą. Szczególnie w stosunku do siebie. Pisał znakomicie po angielsku: jasno, zrozumiale i poprawnie – ale chciał, by jego teksty były wy-czelowane pod względem stylu i doboru słownictwa. Gwarantem, że to zostanie osiągnięte miałam być ja. I tu zaczyna się moja fascynacja osobą i talentem Mistrza.

Niezależnie od tego, że zawsze bardzo interesowała mnie medycyna, a nawet chciałam ją studiować, jestem filologiem i moja wiedza dotycząca kwestii medycznych była oględnie mówiąc znikoma. Kiedy zatem Profesor dawał mi znakomite teksty, żebym je, o zgrozo, poprawiała, stawiało mnie to w trudnej sytuacji. Wchodziłam więc do gabinetu i tłumaczyłam Szefowi, że nie mogę pastwić się nad świetnym tekstem, nie w pełni go rozumiejąc. I wtedy mój Szef z ogromną cierpliwością i cudownie zrozumiale po prostu uczył mnie farmakologii, medycyny, otwierał moje horyzonty na bogactwo metod badawczych, ogrom wiedzy, tradycji i historii, ciekawych postaci z dziejów rozwoju nauk medycznych – ale i współczesnych nam ludzi, którzy te dzieje tworzą – przeważnie jego współpracowników i przyjaciół. To były prawdziwe studia podyplomowe, dzięki którym do dziś baczniej obserwuję i lepiej postrzegam świat.

Profesor miał niewiarygodny talent i umiejętność przekazywania wiedzy, trafiania do umysłu, ale i do wyobraźni. Niezwykle serio traktował swoją misję – bo z pewnością tak podchodził do swoich obowiązków dydaktycznych. Ten, przez długi czas na co dzień



Zakład Farmakologii Akademii Medycznej w Krakowie, gabinet Profesora

chodzący w jeansach i flanelowej koszuli w kratę pan, kiedy miał wykład – dla studentów, słuchaczy uniwersytetu trzeciego wieku, uczestników konferencji naukowej będącej zarazem spotkaniem towarzyskim – ubierał się w każdym szczególnie elegancko i reprezentacyjnie, jak gdyby chciał przekazać słuchaczom, że obcowanie z nauką jest przywilejem, wyróżnieniem, które należy celebrować.

Pamiętam do dziś, jak wychodziliśmy razem z wykładu Profesora w małej Auli PAN z naonczas adiunktem w Katedrze Farmakologii, dziś jej kierownikiem – profesorem Rafałem Olszaneckim. Powiedział on do mnie: „Pani Mario, nasz Profesor jest chyba jednym z ostatnich tak fascynujących wykładowców”. Z pewnością miał rację.

Przypomina mi się pewna zabawna historia. Do niespecjalnie ulubionych obowiązków Profesora należało uczestniczenie w posiedzeniach Rady Wydziału Lekarskiego, jeszcze wtedy Akademii Medycznej. Profesor udawał się na nie na ogół z Katedry, z Zakładu, jak mawialiśmy; jego toga i biret, gotowe zawsze na tę okazję, wisały w stylowej szafce w jego gabinecie. Któregoś dnia, kiedy i ja, i pani bibliotekarka siedziałyśmy przy swoich biurkach pogrążone w pracy, otworzyły się drzwi gabinetu i stanął w nich Profesor w birecie, w todze, której rozchylone poły ukazywały jeansy, skrawek flanelowej koszuli w kratę, kolorowe wełniane skarpety i buciska – tzw. trapery, i z całą powagą zapytał: „Jak panie myślicie, mogę tak pojechać na Radę Wydziału?”. Na co obie zachowałyśmy się okropnie: wybuchnęłyśmy głośnym śmiechem!

Profesor posmutniał i odparł: „Rozumiem. Muszę jechać do domu przebrać się”. Co też uczynił.

Codziennosc u boku profesora Gryglewskiego też była niezwykła i inspirująca. Jej początki przypadły na trudne, niekiedy mroczne czasy lat osiemdziesiątych XX wieku, strajków, stanu wojennego i niosły nieoczekiwane wyzwania dla wszystkich. Działalność naukowa Katedry, jej szefa i zespołu nie byłyby tak owocne, gdyby nie autorytet i pozycja naukowa Profesora. Był powszechnie znany w świecie nauki jako współodkrywcą prostacykliny (rok 1976), hormonu naczyniowego, z którym niebezpiecznie wiązano ogromne nadzieje. Dlatego też najwybitniejsi przedstawiciele świata nauki w Polsce i za granicą akcentowali

mocno swoje wsparcie i wolę utrzymania ścisłych kontaktów naukowych z Profesorem i jego Katedrą. W rezultacie tego wsparcia ówczesne, mocno związane z ich partyjnymi mocodawcami władze uczelni bardzo się liczyły z osobą Profesora. Dzięki temu jego szerokie kontakty z elitą farmakologii światowej pozwalały uzyskiwać pomoc i utrzymać współpracę z najważniejszymi ośrodkami naukowymi Europy i Stanów Zjednoczonych tak w zakresie organizacji i ciągłości badań naukowych w Katedrze, jak i możliwości szkolenia oraz doskonalenia jej kadry naukowej. Dla mnie oznaczało to obfitość korespondencji, organizację licznych wizyt i spotkań z bardzo interesującymi ludźmi, gośćmi Katedry z wielu ośrodków zagranicznych, towarzyszenie ich żonom, a niekiedy i dzieciom w spacerach po Krakowie i staraniu się, aby ich pobyt uczynić możliwie atrakcyjnym. Miałam w tym ogromną i sprawną pomoc zarówno sekretariatu Katedry, jak i wielu kolegów. Muszę przyznać, iż po raz pierwszy w życiu czułam, że znalazłam się naprawdę na właściwym dla mnie miejscu; dla filologa w owych czasach oznaczało to życiowy sukces!

Ale najważniejszym i najbardziej interesującym elementem tej codzienności był kontakt z Profesorem, poznawanie jego osobowości, sposobu myślenia, swoistego poczucia humoru, trafności ocen i nieprawdopodobnych horyzontów: tej niedocenianej na ogół, a niezwykle ważnej składowej działania uczonego, jaką jest wyobraźnia.

Profesor przekonania miał raczej konserwatywne, i tu niekiedy różniliśmy się w ocenach i poglądach. Wtedy ulubionym jego powiedzeniem pod moim adresem było: „Zawsze zdumiewa mnie, pani Mario, jak osoba tak inteligentna jak pani (!) może być tak naiwna”. To było na swój sposób wzruszające, bo przy wielkiej mądrości Profesora cechowała też pewnego rodzaju naiwność: ogromne zaufanie do ludzi, które niestety niejednokrotnie zostało boleśnie zawiedzione. Konserwatywne poglądy nie przeszkadzały zupełnie zapałowi, z jakim Profesor podążał za dość wówczas szybko postępującymi w świecie nowinkami technologicznymi, z którymi zapoznał się w czasie swoich licznych pobytów naukowych za granicą, i które z zapałem starał się adaptować w Katedrze. Tu napotykał niekiedy żywy, choć na ogół nieracjonalny opór z mojej strony, typowy dla mego pokolenia humanistów lęk przed nowymi technologiami. Zaczęło się od cudownej i stanowiącej chwilowy szczyt



Profesor
w stroju
rektorskim

osiągnięć techniki biurowej elektrycznej maszyny do pisania przywiezionej z Anglii, którą zaprezentował mi z dumą, gdy zaczynałam pracę. Pisanie na maszynie nie było moją mocną stroną, dlatego nie protestowałam. Maszyna była cudowna, pozwalała na szybkie dokonywanie poprawek i dość szybko się z nią zaprzyjaźniłam. Potem była chwila absolutnie niepodzielnego przeze mnie entuzjazmu dla dyktafonu, na szczęście szybko przeminęła. Ale kiedy zaczęła się era komputerów, którą Profesor przywitał z wielką radością i zażądał ode mnie, bym nauczyła się z komputera korzystać, podniosłam stanowczy protest. „Nie, Panie Profesorze, zdecydowanie nie. Pracuję dla Pana praktycznie w trzech językach, tłumaczę a vista, uczę się farmakologii, ale tego uczyć się nie będę”.

Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu Profesor przyjął mój protest do wiadomości. Podobno poskarżył się swojej przyjaciółce, doktor Michalskiej, że nie podejrzewał mnie o taki temperament, ale przez chwilę nie powracaliśmy do tego tematu.

Sprawę rozstrzygnął wkrótce los w postaci dobrego przykładu mądrej pani bibliotekarki, która pokazała mi, jak szybko i łatwo pracuje się na komputerze nad tekstem, co skłoniło mnie do zapoznania się z tym nowym narzędziem pracy. Jak ogromnie przydała się ta umiejętność w latach późniejszych, gdy zaczęła działać założona przez Profesora w roku 1992 Fundacja JMRC, gdy zaczęła funkcjonować poczta email, nie ulega kwestii.

Kiedy Profesor przywiózł do Katedry jeden z pierwszych chyba wówczas w Krakowie faksów, też zaczęła się niejako nowa era, bo niemal w tym samym czasie nastąpiła transformacja ustrojowa i doszło do zniesienia cenzury. Pamiętam, że dzwoniły do mnie panie z ówczesnego Ministerstwa Zdrowia prosząc o przesłanie wiadomości do różnych krajów Europy, jako że w Ministerstwie jeszcze wtedy nie było faksów lub jeszcze ich nie używano.

Wielką zmianą w moim dość monotonnym dawniej na co dzień życiu tłumacza stały się regularne i częste spotkania naukowe, w których Profesor i jego zespół byli centralnymi postaciami. W pierwszych latach mojej pracy w Katedrze były to organizowane regularnie co kilka lat ogólnopolskie zjazdy Polskiego Towarzystwa Farmakologicznego (PTF). Towarzyszyły im tak zwane sympozja satelitarne, odbywające się w gronie zaproszonych gości w różnych ciekawych miejscach w Polsce. Pierwszym takim

doświadczeniem było dla mnie sympozjum w Szczawnicy po zjeździe PTF w Poznaniu (w październiku 1979 roku).

Już podróż autokarem z Poznania na miejsce przeznaczenia była nowym i ciekawym przeżyciem. Atmosfera była swobodna, wesoła; czułam, że będzie to spotkanie dobrze się znających i lubiących przyjaciół, których powoli zaczynałam poznawać, także dzięki pomocy kolegów. Popas po drodze na górskiej polanie Kozubnik był czymś nieoczekiwanym dla mnie w tych szarych i biednych latach. Było to barwne i wystawne przyjęcie na tle pięknej górskiej przyrody, zorganizowane z rozmachem (i zapewne wielkim kosztem) przez mocno partyjnego włodarza uzdrowiska w Szczawnicy. Taka była wtedy lokalna polityka partyjna, po prawdzie wymarzona dla środowiska naukowego, przy jego ograniczonych możliwościach i środkach.

Wymianie myśli, osiągnięć i doświadczeń naukowych towarzyszyły niekończące się, ciekawe rozmowy na wiele tematów, uroczne wieczorne biesiady przy muzyce (tu prym wiódł niezapomniany wielki przyjaciel i współpracownik Profesora, znakomity uczony i klinicysta profesor Andrzej Szczeklik, skądinąd mój kolega ze Średniej Szkoły Muzycznej w Krakowie) oraz spacer po bajecznej okolicy. Dzięki przyjaznej atmosferze, a nade wszystko cudownej żonie i koleżance Profesora ze studiów chemicznych, doktor Teresie Gryglewskiej, poznawałam ludzi, korzenie ich relacji i przyjaźni z Profesorem, a także najistotniejsze problemy budowanej przez wiele lat współpracy naukowej.

Wśród kolejnych zjazdów PTF i towarzyszących im sympozjów satelitarnych niezapomniane dla mnie jest tzw. Sympozjum Noblowskie z 1983 roku. To był czas trudny po wydarzeniach roku 1980 i stanie wojennym w Polsce, ale i owocny po przyznaniu Nagrody Nobla w roku 1982, kiedy laureatami zostali odkrywcy prostaglandyn Sune Bergström i Bengt Samuelsson (Szwedzi) i John Robert Vane (Brytyjczyk o kresowych korzeniach), od momentu otrzymania nagrody sir John Vane, odkrywca mechanizmu działania aspiryny i współodkrywca prostacykliny, osobisty od wielu lat przyjaciel Profesora i wielki przyjaciel Polski.

Profesor Gryglewski był wtedy rektorem, a profesor Szczeklik prorektorem Akademii Medycznej w Krakowie i na każdym kroku musieli stawiać czoła trudnościom, jakie piętrzyły przed nimi niechętnie komunistyczne władze. Międzynarodowa skala i ranga planowanego

spotkania naukowego, zaproszeni goście – wszyscy trzej laureaci i ich współpracownicy – były tak imponujące, że na ten czas nie tylko odstąpiono od wszelkich szykan i ograniczeń, ale okazano daleko idące poparcie i pomoc, a nawet zapewniono udział wielu liczących się postaci z uprzywilejowanych warszawskich elit naukowych.

Nie wszyscy zaproszeni goście odważyli się przyjechać do ówczesnej Polski. Ale nazwiska tych, którzy przybyli nadały rangę temu wydarzeniu i opromieniły wspomnienie o nim. Wspaniałym zwieńczeniem krakowskiego spotkania było zaaranżowane z rozmachem (znów przy ogromnym wsparciu wojewódzkich władz partyjnych, zabiegających wtedy o otwarcie filii krakowskiej Akademii Medycznej w Rzeszowie) spotkanie wszystkich uczestników Sympozjum Noblowskiego na Zamku w Łańcucie. Była zatem konferencja naukowa w salach Zamku, obiad w jego ogromnej sali jadalnej i jakże atrakcyjna dla gości przejażdżka po wspaniałym łańcuckim parku historycznymi powozami. Zaś na koniec tych niezapomnianych przeżyć – wycieczka w Bieszczady do uzdrowiska Polańczyk, urokliwy rejs statkiem po jeziorze i bajkowe ognisko w tak radosnej atmosferze, że długo nikt nie chciał się udać na spoczynek, a pewien uczestnik imprezy zasnął na ławie przy ognisku tak głęboko, że z trudem udało się go dobudzić rano, kiedy nastała pora, by wsiąść do autokaru i ruszyć w podróż powrotną do Krakowa.

Trzeba koniecznie podkreślić ważne aspekty kształtowania się w ciągu wielu lat podstaw tak owocnych naukowo, a równocześnie serdecznych więzów współpracy i przyjaźni. To właśnie Profesor i jego żona tworzyli tę niezwykłą, ciepłą aurę, dzięki której ludzie nauki – współpracownicy i goście, ci wielcy i ci początkujący jej adepci – czuli się swobodnie i twórczo zainspirowani czy to w toku wykładów i naukowych dyskusji, czy też spotkań towarzyskich. Okazało się to jednym z bardzo istotnych czynników powodzenia ogromnie ważnej inicjatywy Profesora. W 1992 roku z jego inicjatywy, z wykorzystaniem doświadczenia sieci naukowych działających w tzw. starej Unii Europejskiej, powstała Fundacja Jagiellońskie Centrum Badań Medycznych (JMRC – od pierwszych liter angielskiej nazwy tej organizacji – Jagiellonian Medical Research Centre). Do inicjatywy tej dołączyli Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego profesor Aleksander Koj, dyrektor Katedry Alergii i Immunologii Akademii

Medycznej, profesor Andrzej Szczeklik i dyrektor Instytutu Farmakologii Polskiej Akademii Nauk w Krakowie – profesor Jerzy Maj ze swoimi zespołami naukowymi. Możliwości finansowe rozwinięcia tej działalności były na wstępie bardzo ograniczone, ale autorytet naukowy założycieli Fundacji i zainteresowanie ich zagranicznych partnerów naukowych, a także wchodzących wtedy na polskie rynki znanych firm farmaceutycznych z całej Europy i świata, otwierało dobre perspektywy realizowania podstawowych zadań Fundacji. A zadania te były następujące: organizowanie współpracy placówek naukowo-badawczych zajmujących się badaniami podstawowymi i tworzeniem wytycznych dla powstawania substancji leczniczych do produkcji leków w zakresie chorób krążenia, reakcji zapalnych i ogólniej farmakologii śródbłónka naczyniowego. W owych czasach, jakże dalekich od wszechobecnej komputeryzacji, konferencji i obserwacji procesów oraz operacji online, nie mówiąc o wykorzystaniu technologii AI, stworzenie stałej sieci wymiany wyników badań naukowych i rozwoju metod badawczych instytucji pracujących w obrębie tej samej dziedziny farmakologii było znaczącym krokiem naprzód.

Fundacja umożliwiła ożywienie wymiany naukowej, zorganizowanie pobytu młodym obiecującym adeptom nauki w przodujących ośrodkach naukowo-badawczych, zaoferowanie im skromnych stypendiów naukowych, przygotowywanie wykładów we współpracy z Polską Akademią Nauk w Krakowie, a także organizowanie w dość regularnych odstępach czasu międzynarodowych sympozjów o światowym zasięgu, poświęconych przedstawieniu i wymianie wyników badań poszczególnych ogniw tej sieci. Na tym zupełnie nowym polu działalności Profesora i jego pełnych zapału współpracowników powstawała wspierała wieloletnia tradycja, której pamięć trwa do dziś.

W tym barwnym paśmie wspomnień niezapomnianych chwil mój skromny, ale nieprzerwany i bardzo czynny udział – najpierw jako asystentki Profesora, przewodniczącego Rady Fundacji, w późniejszych latach członka Zarządu Fundacji do roku 2017 – był nieustającą kontynuacją przygody mego życia, zapisaną pamięcią wielu wspaniałych momentów i niezwykłych postaci; uświadomieniem wskazań, jak tworzyć historię określonej gałęzi nauki, ale też, jak doceniać znaczenie umiejętności budowania podstaw owocnej międzyludzkiej



Wybory rektora
Akademii Medycznej
w Krakowie (1981)

Kraków 8. VI. 1981

współpracy. Nieocenionymi atutami w tym obszarze działań Profesora byli na każdym kroku jego żona, a także pełni oddania ludzie z jego otoczenia.

Aby podkreślić pełnię zaangażowania Profesora we wszystko, co robił i pełne zrozumienie, lojalność oraz wsparcie jego małżonki, nie mogę nie wspomnieć o zdarzeniu, które miało miejsce wiele lat później, w roku 2003, podczas uroczystego sympozjum poświęconego uczczeniu setnej rocznicy wynalezienia aspiryny i odkrywcy mechanizmu jej działania sir Johna Vane'a, uświetnionego przez najbardziej znaną do dziś firmę produkującą aspirynę – firmę Bayer, współorganizatora sympozjum. Nie wiedzieliśmy wówczas, że była to ostatnia wizyta sir Johna w Polsce. Wielki przyjaciel naszego kraju i bliski osobisty przyjaciel Profesora zmarł bowiem w roku 2004.

Ja jednak chciałabym wspomnieć o zdarzeniu, które zrobiło ogromne wrażenie nie tylko na mnie, ale na wszystkich z otoczenia Profesora i po raz kolejny pokazało światu jego niezwykłą osobowość i oddanie nauce.

Byliśmy niejako przyzwyczajeni, że dość często wybitne uniwersytety i placówki naukowe nadawały naszemu Szefowi tytuły doktora honoris causa, że organizacje, stowarzyszenia naukowe obdarzały go zaszczytnymi tytułami, dyplomami czy nagrodami naukowymi – ale to wydarzenie miało szczególną rangę. Mówię o nagrodzie pieniężnej znanej firmy farmaceutycznej Yamanouchi, której przedstawiciel wręczył Profesorowi jej dyplom na uroczystej premierze opery Krzysztofa Pendereckiego „Król Ubu” w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, uświetniającej nasze specjalne Sympozjum Bayerowskie.

To była jak na owe czasy i nasze warunki bardzo wysoka kwota pieniędzy. Bez wątpienia zapewniała Profesorowi i jego bliskim dostatnie życie na wiele lat. I tu profesor Gryglewski pokazał, jakie znaczenie w jego życiu ma miłość do nauki, pasja i poczucie misji. Całą tę sumę przeznaczył na działalność i rozwój Fundacji. Przez wiele kolejnych lat Fundacja prowadziła bardzo ożywioną aktywność we wszystkich wyznaczonych statutem kierunkach. Bez tego kapitału dalsza działalność Fundacji nie mogłaby się rozwijać tak wszechstronnie i efektywnie.

Jeśli chodzi o mnie, to większość moich obowiązków dotyczyła ogółu obszaru public relations, a w tamtych czasach w Polsce było to zadanie skomplikowane na różne sposoby, od organizacji pobytu i podróży zaproszonych gości, zapewnienie spotkaniom właściwego i sprawnego przebiegu konferencji, po atrakcyjność wspólnych posiłków i okazji towarzyskich. Program naukowy kolejnych sympozjów i dobór najznakomitszych wykładowców z całego świata był rzecz jasna domeną Profesora i członków Rady Naukowej Fundacji. Konstrukcja programu socjalnego, pod egidą i z bezcennym doradztwem pani doktor Gryglewskiej, należał do Zarządu. Dzięki sprawnej i życzliwej współpracy wielu instytucji i ludzi, autorytetowi Profesora i randze nazwisk zaproszonych gości – laureatów Nagrody Nobla, odkrywców, pionierów nowatorskich metod badań i leczenia – sympozja Fundacji JMRC, organizowane nie tylko w Krakowie, zawsze były ogromnym sukcesem i przeżyciem naukowym oraz towarzyskim.

Było zwiedzanie Krakowa i prezentowanie jego nieprzebranych skarbów ludziom z dalekich krajów, były spacerzy w górach i koncerty na Wawelu, były inspirujące dyskusje. Wspominam te lata jako najciekawszy okres mojego życia właśnie ze względu na niezwykle ludzi, których poznałam. Do dziś niektórych z nich uważam za swoich przyjaciół.

Oprócz spotkań naukowych, wykładów dla personelu i studentów, sympozjów, przygotowywania materiałów do publikacji i prezentacji Fundacja od początku swej działalności realizowała jedno z wielu ważnych zadań, dla których została utworzona: ideę Profesora stworzenia warunków do kontaktu z osiągnięciami światowej farmakologii dla adeptów tej nauki z krajów byłego Związku Sowieckiego, uczonych z Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy i Białorusi. Zapraszano ich do udziału w sympozjach i spotkaniach naukowych, Profesor zabiegał o organizowanie dla nich pobytów naukowych w Katedrze, w ramach skromnych możliwości starał się dla nich o pomoc formalną i finansową. Do dzisiaj utrzymują się nici nawiązanych wtedy kontaktów i przyjaźni. Nie sposób przecenić pomocy, jaką w każdym aspekcie okazywał tym ludziom Profesor i jak bardzo rozumiał trudności, jakie napotykali, by móc realizować swe naukowe marzenia i ambicje.



Ryszard Gryglewski z profesorem Andrzejem Szczeklikiem

Profesor bywał też często gościem w macierzystych uczelniach i placówkach naukowych gości, z których do nas przyjeżdżali. Niezapomnianym przeżyciem dla kilkunastu osób z Katedry, najbliższych współpracowników Profesora, do których miałam szczęście należeć, był kilkudniowy pobyt z Profesorem i jego żoną na Ukrainie, na zaproszenie Lwowskiego Uniwersytetu Medycznego im. Daniły Halickiego. Uniwersytet ten w roku 2001 nadał Profesorowi tytuł doktora honoris causa za całokształt osiągnięć naukowych i budowanie tak ważnych dla tej uczelni więzów współpracy. Oprócz sympatycznej i wzruszającej uroczystości wręczenia zaszczytnego tytułu gospodarze nie tylko zagwarantowali nam bardzo dobre warunki pobytu, ale też zapewnili możliwości zwiedzania najciekawszych miejsc już wtedy pięknie odrestaurowanego Lwowa, ale i pełne ciepła i serdeczności spotkania. W ostatnim dniu pobytu spędzaliśmy wieczór w towarzystwie ukraińskich przyjaciół, a potem we własnym gronie w niezwykle miłej atmosferze, wymieniając poglądy na temat warunków budowania zgranego zespołu, owocnej współpracy i znaczenia, jakie dla takiego zespołu ma obecność i osoba Mistrza. Z pewnością nikt z nas nie miał cienia wątpliwości, o jakim zespole i którym wcieleniu postaci Mistrza rozmawiamy. Nie zdawaliśmy sobie chyba sprawy z tego, za jak niewiele lat ten idealny w naszym odczuciu model nieuchronnie zacznie się zmieniać, jak też zmianom ulegnie stopniowo proces, który można by niezdarnie nazwać „robieniem nauki”.

Kolejne lata działalności Katedry i Fundacji przyniosły nowe wyzwania, nowe sytuacje i nowe realia, ale cele i kierunki działania pozostawały te same i były nadal realizowane. Przewodniczącym Rady Fundacji został w roku 2004 profesor Stefan Chłopicki, ale profesor Ryszard J. Gryglewski był nadal jej duszą i honorowym przewodniczącym.

Ostatnie sympozjum zorganizowane z inicjatywy i pod egidą Profesora miało miejsce w roku 2009; w piątą rocznicę śmierci sir Johna Vane’a, i było wzruszającym spotkaniem jego współpracowników, jego małżonki i jednej z córek oraz uczniów – wszystkich, którzy go pamiętali i spędzili u jego boku najbardziej twórcze chwile swego życia, co we właściwy jedynie dla niego sposób przypomniał Profesor. Spotkanie odbyło się w urzekającym otoczeniu – w pięknych salach Collegium Maius, co poprzedziła moja zwycięska

batalia z dyrektorem Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego z siedzibą w Collegium Maius – profesorem Stanisławem Waltosiem. Dyrektor za nic nie chciał się zgodzić na odbycie konferencji w salach Muzeum, twierdząc że stare stropy nie wytrzymają obciążenia takiego tłumu. Przekonywałam go dość długo, że tych wielce szacownych osób nie będzie zbyt wiele. W końcu się zgodził i machnąwszy ręką stwierdził: „gdzie diabeł nie może...” Spotkanie pełne wzruszających wspomnień zwieńczyła uroczysta kolacja w reprezentacyjnej sali Collegium.

Nie wiedziałam wtedy, że nieomal nazajutrz po tym wielkim dla nas wszystkich przeżyciu Profesor za moim pośrednictwem przekaże Radzie Fundacji pismo, w którym rezygnuje z funkcji Honorowego Przewodniczącego Rady Fundacji, i co gorsza z dalszego swego udziału w pracach Fundacji.

Nie mogłam się pogodzić z tą decyzją, mimo iż w dużej mierze rozumiałam jej przyczyny. Wielokrotnie prosiłam Profesora, by zechciał swą decyzję przemyśleć, żeby ją cofnął. Nie udało mi się go przekonać i bardzo tego żałuję. Nie wiedziałam też, nikt tego nie wiedział, że za kilkanaście lat inny memoriał przyjdzie nam celebrować w pięknych salach Collegium Maius...

Przez długi czas nie umiałam się pogodzić z tym nieoczekiwanym, nagłym odejściem Profesora z Fundacji, której był nie tylko współtwórcą, ale i inspiracją. Dziś zdaję sobie sprawę, że już dużo wcześniej niż my zrozumiał przemiany zachodzące w metodologii i procesach realizacji badań naukowych, ich nieuchronność i kierunki rozwoju, ale się z nimi wewnętrznie i emocjonalnie nie godził. Rozumiem też lepiej, jak trudna musiała być dla niego ta decyzja. Wiem, że na pewno przeżył ją też głęboko emocjonalnie i długo trwało potem jego dochodzenie do równowagi. Z naszych późniejszych rozmów – jako że do końca życia Profesora utrzymywałam z nim i jego żoną żywy kontakt – wynikało, że tę równowagę osiągnął, w nas wszystkich jednak jego przedwczesne odejście budziło zawsze wewnętrzny sprzeciw.

Następca kontynuował jego dzieło. Wkrótce jednak kolejno odeszli niezapomniani współtwórcy Fundacji i członkowie jej Rady Naukowej: profesorowie Koj, potem Szczeklik. Kontynuowałam pracę jako członek Zarządu Fundacji aż do roku 2017, do jubileuszowego

25. Sympozjum JMRC, ale nie ukrywam, iż mimo wielu wspaniałych chwil i uroczych spotkań osobiście mnie – i myślę, że nie tylko mnie – brakowało właśnie tego ducha, tej wynikającej z niezwyklej osobowości Profesora inspiracji dla nas wszystkich, którzy mieliśmy szczęście z nim pracować.

Gdy po latach patrzę z perspektywy długiego okresu współpracy z Profesorem na jego postać sądzę, że oprócz niezwyklego talentu odkrywcy i pasji uczonego dominowały w jego osobowości dwa bardzo ważne elementy: powołanie do przekazywania wiedzy i zarażania pasją naukową oraz głębokie przywiązanie do podstawowych wartości na równi z wielką umiejętnością nawiązywania prawdziwych przyjaźni. Profesor miał kilku przyjaciół, z którymi żywy kontakt utrzymywał przez całe życie, w każdych okolicznościach demonstrując nie tylko prawdziwe przywiązanie, ale i niepodważalną lojalność. Na pewno najbliżsi z nich to byli wybitni ludzie i znakomici uczeni, jak sir John Vane, profesor Jack McGiff, całe życie w każdym znaczeniu tego słowa – profesor Andrzej Szczeklik, postaci nie tylko niezwykle, ale pełne indywidualnego uroku. Przyjaźń, lojalność i zaufanie, na które zresztą w pełni zasłużyli, okazywał im Profesor do końca ich życia. Ich odejście pozostawiło ogromną lukę w jego życiu i niewątpliwie budziło poczucie samotności, mimo ogromnego przywiązania i miłości Profesora do rodziny i pełnego jej oddania.

I ja miałam szczęście cieszyć się przyjaźnią i zaufaniem Profesora, co było dla mnie inspiracją i honorem, ale też w kilku kryzysowych i trudnych chwilach mojego życia dało mi nie tylko nieocenioną podporę, ale również pomoc dzięki jego mądrym i serdecznym radom. Nigdy o tym nie zapomniałam i pewnie dlatego, mimo upływu wielu lat, trudno mi unikać bardzo osobistego tonu we wspomnieniach o Profesorze.

Wiedziałam o pogarszającym się stanie jego zdrowia. Byłam przez te wszystkie lata w stałym i serdecznym kontakcie z jego żoną i synem. A jednak kiedy uderzyła we mnie i w nas wszystkich z jego kręgu, z końcem stycznia 2023 roku, wiadomość o jego śmierci – trudno było się z nią pogodzić. Był pogrzeb, oficjalny z przemówieniami rektoratu i jego następców, pełnymi żalu i wspomnień jego najważniejszych naukowych i życiowych osiągnięć. Był potem pogrzeb już nieoficjalny, w obecności rodziny, najbliższych przyjaciół

i pracowników, przepełniony smutkiem i poczuciem wielkiej straty, ale nadal nie byłam w stanie do końca uświadomić sobie, jaki rozdział również i mojego życia został zamknięty. Na prośbę żony Profesora byłam jakiś czas zajęta nieoficjalną korespondencją z jego wieloletnimi przyjaciółmi, współpracownikami, uczniami, segregowaniem pewnych pozostałych po nim w moim posiadaniu materiałów: fotografii, kopii publikacji czy listów i przekazywaniem ich żonie oraz rodzinie.

Fakt, że Profesora z nami nie ma uświadomiłam sobie kilka miesięcy później, u progu czerwca 2023 roku, kiedy pod egidą jego następców – kierownika Katedry profesora Rafała Olszaneckiego i przewodniczącego Rady Fundacji JMRC – profesora Stefana Chłopickiego zostało zorganizowane jednodniowe sympozjum – Memoriał poświęcony pamięci i dorobkowi naukowemu Profesora Ryszarda Jerzego Gryglewskiego. Uczestniczyli w nim uczeni z całego świata, którzy towarzyszyli badaniom i działalności Profesora od początków jego pracy w Katedrze z czasów, których nawet ja nie pamiętałam.

Niezwykłe od pierwszej do ostatniej chwili spotkanie odbyło się znów w majestatycznej sali Collegium Maius. Oprócz uczonych obecni byli nieżyjąca już żona sir Johna Vane’a, lady Daphne, moja wielka przyjaciółka, która wygłosiła wzruszającą mowę, najbliższa rodzina Profesora, a także ludzie współpracujący z nim w ostatnich latach jego działalności.

Po konferencji, w bardzo już ścisłym gronie, zebraliśmy się na kolacji, której serdeczna i swobodna atmosfera przypominała nasze dawne niezapomniane spotkania. Kiedy już na koniec tej biesiady staliśmy kołem na środku lokalu nie mogąc się rozstać, zrozumiałam sens znanego powiedzenia, że człowiek żyje tak długo, jak długo trwa pamięć o nim.

Pomyślałam też, jak to dobrze, iż nasz Profesor zostanie na zawsze w historii medycyny, tej naszej znakomitej krakowskiej i tej coraz bogatszej – światowej.

Jestem szczęśliwa, że dane mi było być przy Nim na co dzień przez tak wiele lat.

Maria Chechlińska

Katedra Farmakologii Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum
Była Członkini Zarządu Fundacji „Jagiellońskie Centrum Badań Medycznych”

”

Gdy po latach patrzę z perspektywy
długiego okresu współpracy
z Profesorem na jego postać sędzę,
że oprócz niezwykłego talentu
odkrywcy i pasji uczonego
dominowały w jego osobowości dwa
bardzo ważne elementy: powołanie
do przekazywania wiedzy i zarażania
pasją naukową oraz głębokie
przywiązanie do podstawowych
wartości na równi z wielką
umiejętnością nawiązywania
prawdziwych przyjaźni.